



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

BĄDŹ BŁOGOSŁAWIONA.

Potęga jesteś, co duchami rządzi,
Światom w przestworza wytyka koleje,
Nigdy nie słabnie i nigdy nie błdzi,
A żyjąc w wielkim wszechrzeczy ogromie,
Rządzi wszechświatem zawsze niewidomie
I w piersi jego ziarna życia sieje.
Potęgą jesteś, co boleści stwarza,
A przez nie ludzi popycha do czynu,
Każe im klękać u stopni ołtarza
Poświęceń wielkich i ztąd sięgać śmiało
Po wieniec z cierni, po gałąź wawrzynu,
By pokrwawioną skroń otoczyć chwałą.
Potęgą jesteś, co rozkosze stwarza,
Gdy duch, pogrążon w bezmiernej żałobie
Nagle najdroższe swe marzenia ziści.
Potęgą jesteś, co dźwiga nędzarza,
Co twory siłą olbrzymią obdarza,
Co wciąż przed światem daje znać o sobie
W miłości wiecznej, w wiecznej nienawiści.
Potęgą jesteś i dlatego twory
Hołd ci składają z pochylonem czołem
I wielbią ciebie,

Bądź błogosławiona!

Za słońce promienie, za tęczy kolory,
Za uśmiech wiosny z obliczem wesołym,
Nad którym życia pali się korona;
Za cienie nocy i gromowe chmury,

Za ryki bestyi dochodzące zdala
I za jęczące pieśnią ptasząt chóry;
Za harf anielskich rozmodlone tony,
Za nimb męczeński, co skronie okala,
Za niebo, piekło, za żądz miliony,
Za myśl człowieczą, co nigdy nie kona,
Myśli wszechświata, bądź błogosławiona!

W olbrzymie bryły łączą się atomy,
Jaśnieją promienne słońca,
Budzą się w chmurach współdrzemiące gromy,
Myśl leci w przestwór bez końca;
Modlitwa światów powoli gdzieś płynie
Aż tam, gdzie z mroków w porannej godzinie
Wychodzą różane zorze;
Wezbrane pieśnią falują wciąż łona,
Duch i natura chylą się w pokorze
I szepcą cicho. „Bądź błogosławiona!”

J. Nitowski.

POGA WĘDKA.

Od dni już kilkunastu szare, jednostajne chmury
pokrywają sklepienie niebieskie, nigdzie skrawka
małego błękitu, nigdzie jaśniejszego światła nie
ma, któreby o słońcu jakakolwiek wieść podało:
wschodzi niewidziane, niewidziane zachodzi, jakby
się rozgniewało na ziemię czy na ludzi, czujemy
jednak jego ciepłe promienie, ten dar łaski ukryte-
go za szatą mgieł mocarza.

Jesień—jesień—jesień!

Według kalendarza kilka dni jeszcze mamy lata,
ale w tym smutku chmur i w cichym szmerze co-
raz bardziej pokrywających się złotem drzew liścia-
stych, widzimy poprzedniczkę zimy, stojącą już
u progów naszych. Może być bardzo piękna,
w złoto i purpurę bogata; może błękitem i promien-
ną żrenicą słońca zabłysnąć, lecz wszystkie te skar-
by jesieni, wszystkie te barwy królewskich jej szat,
oddałbym za jeden, zielony dzień wiosenny.

Są ludzie, którzy lubią jesień, kojąco ona oddzia-
ływa na nich. Ha! jeżeli można lubić smutek, je-
sień jest i moją kochanką. Osypujące się listki
drzew, szelest ich pod stopą moją, najlżejszy po-
wiew wiatru dotykający mi czoła—tego wiatru
o tchnieniu jesiennem—nie wypowiedzianym smut-
kiem napełnia mi duszę.

Rozejrzałem się do koła,—wszystko tak samo,
jak było.

A—nie! Warszawa do niepoznania się zmienia.

Przed kilku laty rozpoczęty ruch budowlany trwa
dotąd, nie masz prawie ulicy, przy której by nie
podnosiły się ściany nowego domu, olbrzymie gma-
chy rosną jak na drożdżach, miasto się rozsze-
rza, wypięknia, a nadzieja wstępuje w serca mie-
szkańców, że przy zwiększonej ilości kamienie-
znijszą się ceny lokalów. Na dodatni wygląd
miasta wpływa bardzo regulacja ulic, rozszerzenie
chodników i układanie doskonałych bruków. Cho-
dniki, w rzeczywistości są wspaniałe, są za szerokie
nawet stosunkowo do ulic, na czym znowu ruch
uliczny ucierpieć z czasem może. Skwerów przy-
bywa także wciąż więcej, a otwarty niedawno dla
publiczności Park Ujazdowski powiększył zbyt
szczupłą ilość ogrodów miejskich. Ten park nowy,
na nas przynajmniej, nadzwyczaj przyjemne wra-
żenie zrobił. Mało jest w nim wprawdzie jeszcze
cieniu, bo okrom głównej alei, gdzie pozostawiono
kasztany stare, świeżo zasadzone drzewka nie mogą
podczas upałów darzyć miłym schronieniem—ale
przesłonna zieleń rozległych gazonów mile przy-
ciąga wzrok ku sobie i pozwala oczom spojrzeć da-

lej, niż w starych, zacienionych parkach. Misternie bardzo są przeprowadzone zakręty alej, dużo uroku dodaje przezroczysta szyba o ładnym wykasie sadzawki z malutką wysepką, na której, niby od niechcenia, rosną krzewy i drzewka. Prawdopodobnie przez zwężoną szyję sadzawki zostanie rzucony mostek—nie znam planu—lecz o tem sądzić mi każą wynioślejsze brzegi w tem miejscu i kupy nagromadzonych kamieni, jako też zatamowany bieg wody. Szerokość tylko wzniesienia (jeżeli przypuszczenie moje jest prawdziwe) wskazywałaby, że właściwie nie *mostek* lekki, misterny, lecz *most* ma tu stać, co byłoby znów wielkim grzechem przeciw estetyce. Dalej, na zakręcie sadzawki, która w tem miejscu przecina aleję, rzucone są głązy do wody, po których przejść można. To rzucenie głązów ma niby naśladować naturę, lecz że za symetrycznie są ułożone, zdradzają sztukę i spodziewanego efektu nie sprawiają. Natomiast bardzo ładnie ubrane jest kamieniami źródło, z którego *niby* strumyk się ma sączyć, dalej w jezioro się rozlewać i tworzyć ową wyżej wspomnianą sadzawkę. Bał gdyby nie było owego podkreślonego *niby*, dużo by na tem zyskała prawda. Ten strumyk—dzisiaj nie istniejący,—któryby płynął pośród ładnie ułożonych kamieni, paproci i innych krzewów, któryby płynął a szeptał, dużyby uroku pięknej całości dodał. Bądź co bądź, Park Ujazdowski jest bardzo miłym miejscem przechadzki, ma dużo ładnych widoków, i nie mało się przyczynił do piękności syreniego grodu.

Dnia 8-go Września o godzinie 4-ej po południu, na „Dynasach“ odbyła się „Wielka zabawa“ na korzyść kassy Pożyczkowo-Wkładowej artystów i innych osób do składu teatrów rządowych Warszawskich należących, w połączeniu z wyścigami, w których przyjęli udział wyłącznie artyści, artyści i inni członkowie kassy. Po skończonych biegach wystąpiły chóry opery pod dyrekcją Michała Zakrzewskiego, następnie pod batutą Stanisława Barcewicza orkiestra Teatru Wielkiego wykonała utwory Moniuszki i Mendelsohna—później koncert w sali: muzyka, śpiew i deklamacja, o zmroku zaś zakończyły zabawę ognie sztucznie, składające się z kilku rac, nieudanego jakiegoś młynka, kilku nieciekawych szmermelów, co wszystko razem afisz „wielkim fajerwerkiem“ nazwał.

Przyznam się do jednego grzechu, że od lat już ośmiu, mieszkając w Warszawie, nie udało mi się ani razu, do chwili owego wielkiego fajerwerku, być na Dynasach. Ot, po prostu, nie nęci mnie jakoś sport cyklistowski. Przyznanie się do winy, zmniejsza winę—zresztą nastąpiła poprawa i rozważywszy na jaki cel urządzoną została zabawa, poszedłem—na Dynasy! Oczywiście, że wzrok mój spooczył nasamprzód na rotundzie, w której ujrzymy wkrótce wspaniałą dioramę Tatr. Budynek zewnętrzny jest wykonany zupełnie, wewnątrz już zawieszono olbrzymie płótno, nad którym jeszcze pracują malarze, czyniąc artystyczne poprawki. Przed pierwszym Października otworzą się nam podwoje, przez które wejdziemy do zaczarowanej krainy tatrzańskiej, wielkiego dzieła mistrzów, a sądzę, niezrównanej ponęty dla nas wszystkich.

Ale—jesteśmy na Dynasach.

Tłok olbrzymi, inicjator zabawy mógł ręce z radości zacierać, nie małą sumką zasiloną została kasa artystów. Publiczność sumiennie spełniła swój obowiązek moralny, wszystkie miejsca zostały zakupione siedzące i stojące, jakie tylko pod ręką się znalazły. Lecz—pytanie—czy tej publiczności odpłacono się równie sumiennie? Dopóki zabawa trwała na otwartem powietrzu—wszystko było w porządku, lecz gdy czas nadszedł koncertu w sali—olbrzymi zapanował nieład. Numerowane krzesła w większej części numerowane nie były, każdy więc siadał gdzie chciał, ten, który parę rubli zapłacił za krzesło bliżej znajdujące się estrady, do swego miejsca nie mógł się dotrzeć, i albo na szarym ulokował się końcu, albo stać musiał przyparty gdzie do ściany. Tłok, hałas, przyparci do muru woźni tracili głowę, tłumacząc się brakiem krzesła, albo brakiem czasu, niedającym możliwości przyklejenia numerów; tam jakąś staruszkę wyproszono z zajętego miejsca, która, nie mogąc znaleźć swojego numeru, na innym numerowanym krześle usiadła, piszący równie siedział nie na swoim miejscu, bo

ani właściwego rzędu krzesła, ani swojego numeru odnaleźć wraz z woźnym nie zdołał.

Mimowoli szukałem wśród tłumów twarzy obcej, Francuza albo Niemca na przykład, a przecie ten lub tamten mógł do Warszawy przyjechać i—i zająć sobie na Dynasy. „Pays barbare“ szepnąłby Francuz—„Polnische wirtschafft“ mruknąłby Niemiec.

I co im odpowiedzieć?

Bądź co bądź, łapie się publiczność na wielką zabawę, ofiarującą jej wrażeń tysiąc, a tymczasem, byle kassa wypełniona została, niedba się już o nikogo: niech się duszą i—post factum pretensje roszcza.

To nie uchodzi jakoś.

Gdyby nie ten nieporządek podczas koncertu w sali—cała zabawa wymieniłaby była. Mniejsza już nawet o *wielki fajerwerk*, który prócz huku drażniącego słuch, nieczem nie podrażnił zmysłu widzenia. Dzień był prześliczny, słońce i ciepły, biegi na rowerach wzbudzały wesołość, chóry śpiewały, rozmarzyć mogły, orkiestra grała pięknie i koncert w sali miał dobrych wykonawców.

Zwróciłbym tu tylko uwagę na jeden dyalog, który został wypowiedziany z wielkim życiem i werwą przez pp. Tatarkiewicza i Zejdowskiego, o doktorze przyprowadzającym rogów dwóm mężom, a jak się okazało w następstwie, będącym sam rogalem—dyalog ten (oczywiście przyszedł do nas z nad Sekwany) jest pozabawiony dowcipu, natomiast ma dużo w sobie nieprzyzwoitości. Młode jakieś dziewczętko siedzące koło mnie, zwracało się co chwila do matki, zarzucając ją pytaniami, na które opiekunka czy matka odpowiedzieć oczywiście nie mogła. Dziewczętko słuchało z zajęciem i ciekawością głupiego dyalogu: „aha!“ powtarzając czasami—i śmiało się, na pół nieświadomie na pół świadomie, domysłując się powoli przedmiotu, około którego rzecz się cała kręciła. Takie dyalogi, *na bis* publiczności dawane, powinny być jej obrazą. Brud, choćby go śmiech pokrywał, brudem zawsze zostanie, a w sali widzieliśmy sporą liczbę uczniów klas niższych i dziewczątek, które—no! które pragniemy wychowywać w czystości myśli i czynów. Takie śmiecie, zachwycające może niewybredne tłumy w *caffés chantants* paryskich—z publicznych zabaw u nas wyrzucone być powinno. Ani krzty dowcipu, ani rzetelnego humoru, słowem św.... i tak dalej.

Ale zabawa na rzecz kassy artystów—udała się. Słyszę westchnienie—to wdycha Quis w „Tygodniku Ilustrowanym.“ W myśli mu stało, coś, jakby pogrzebana kwestya, pożyczkowej kassy literackiej:

„Ta kassa literacka obłana tyłu flaszkami atramentu—mówi kronikarz—pozostaje dotąd tylko „czarna plama“ naszej niezarności. Przypomniałem o niej wraz z przezorniejszymi kolegami w prasie tyle razy, że pozwolę sobie raz jeszcze wspomnieć o tej sprawie, robiąc Ładnowskiemu konkurencyę w dziedzinie akrostychów.

Leniwa rzeszo wstydz się wstydz,

I do aktorów po przykład idź!

Tobie już rozwiął psotny los

Efemerycznych planów stos,

Robiłaś tylko pusty krzyk

A zapał, jak kamfora, znikł.

Chcijże choć raz praktyczną być

I przestań tak bez jutra żyć.

Wiem—powiada dalej—że to wszystko nie wiele pomoże, że wszystkie upomnienia prozą czy wierszem prędzej psu na budę się przydadzą, niż literatom naszym i dziennikarzom na pożytek i że chyba nie dożyję tego, by na Dynasach sprężył się ludzie pióra ścigali się na korzyść własnej kassy pożyczkowo-wkładowej, bo oni wolą innych sztuk łamanych dokonywać... niż starać się o własny zaośczerdzony i kapitalizowany fundusz, z którego mogli w czarnej godzinie mieć jaką pomoc.“

Prawda, prawda i jeszcze raz prawda, że źle jakos idzie z tą kassą literacką, ale bądź co bądź nie wybiegamy sobie zapomogi na Dynasach. Ci sprę-

żyści od pióra tyle mają różnych kłopotów na głowie, że im czasu nie stać na rowerową sprawę, a więc na tego rodzaju popisy przed publicznością. Czy wielu mamy literatów uprawiających ten sport u nas? Wiem, że jeżdżą niektórzy, i ja czasami, gdy nikt nie widzi, dosięgę żelaznego rumaka, ale ażeby kilkakrotnie móżdż obiedzić tor na Dynasach, potrzeba dużo wprawy i sporo czasu tej przyjemności poświęcić. Tymczasem czas ten zabiera pióro...

Nie! wyścig literacki zdałby się także psu na budę, choć nie przeczę, że na podobne widowisko zjawiałyby się cała Warszawa...

— Kto się ściga?

— Prus z Sienkiewiczem.

— Bagatela!... a teraz?

— Hajota z Rodziewiczówną—

Ciekawość wzrasta—

Później występuje lekka kawaleria poetów, i ciężkiego kalibru jazda krytyków.

Powodzenie byłoby zapewnione, wszystkie wzgórza na Dynasach i gałęzie drzew wszystkich, roily by się od tłumów, a mój przyjaciel Quis, otrzymałby milion podziękowań za dobrą myśl a tak w porę rzuconą. Dosiadłbym i ja już wraz z tobą, kochany Quisie, żelaznego rumaka i choćbym miał karku nakreć, poświęciłbym się d'a dobra naszej kassy.

A więc—spróbować— — — Kto da inicjatywę?

Nie—kto tak odważny będzie z tych sprężystych od pióra, któryby się pierwszy na listę wyścigowców zapisał? Powiadają, że wszelki tylko początek trudny.

Amatorstwo jednak jazdy na kołowcach, na pozor sądząc przynajmniej, od pewnego czasu zdaje się zmniejszać stopniowo. Po uzyskaniu pozwolenia władzy jazdy po wszystkich ulicach, zaroilo się od cyklistów w Warszawie, nie wiadomo było czy więcej powozów czy rowerów przebiegało przez gród syreni. Ale gdy pierwsza gorączka minęła, ruch się więcej niż o połowę zmniejszył, a jedno z pism doniosło, iż sprawdzone zostało, że z dniem 5-ym Września, znajdowało się w lombardach zastawionych rowerów 246. Pociesmy się: Jesień nie za lasami, nie za górami zima, rowery poszły sobie na—przechówek.

W ostatnim numerze „Ateneum“ czytałem bardzo ciekawy artykuł mówiący o różnicy, jaka zachodzi między Anglikiem a Francuzem. Anglik lubi czystość, woda należy do codziennych potrzeb jego życia. Nie rozumie on Francuza używającego kiedy nie kiedy tylko kąpieli. Anglik kąpieli używa codziennie, zimny prysznic każdego rana po przebudzeniu się jest u niego koniecznością. Każdy przeciętnie zamożny mieszkaniec Londynu ma pod dostatkiem wody do swojego użytku. Domy są tak urządzone, że krany wodociągowe, według zapotrzebowania, dają wodę zimną lub gorącą. Wody więc się używa ad libitum i nikt na to sarkając nie ma prawa. To takie zwyczajne, jak wchłanianie powietrza.

Ba! cóżby powiedział syn mglistego Albionu, gdyby wypadkiem zatrzymał się w sieni jednego z domów przy ulicy Wilezej i przeczytał ogłoszenie naprzykład, tej treści:

„Uprasza się szanownych lokatorów, o zwrócenie uwagi służących, ażeby mniej ekspensowały wody, skutkiem bowiem lekkomyślności sług w bezpotrzebnem przelewaniu z kranów, gospodarz narażony był w ubiegłym kwartale na znaczną stratę, z powodu opłaty za zużytkowaną ponad normę wodę.“

Wyobrażamy sobie zdziwienie Anglika. Kto wie, czy—gdyby był właścicielem jednej z kamienic warszawskich i miał dostateczne pojęcie o naszym zamiłowaniu do kąpieli—czy nie wywiesiłby ogłoszenia, na którym lokatorzy odczytaliby rzecz następującą:

„Upraszam szanownych lokatorów, ażeby przez wzgląd na higienę, nie żalowali wody i kąpali się codziennie. Za lokale biorę od was tak wygórowaną cenę, że zużytkowanie wody ponad normę przyjętą, uszczerbku mnie nie robi.“

Co a co, to zdaje mi się, że najmniej właśnie tego zużytkujemy płynu. Ilość zaś wody przeznaczona na każde mieszkanie jest tak dostateczną, że używanie jej najobfitsze i kąpiel codzienna osób kilku nawet, nad miarę niepociągnie. Bądź co bądź

ogłoszenie podobne nie mówi źle o lokatorach tego domu przy ulicy Wilekiej.

Ze zbliżającą się jesienią, na półkach księgarskich coraz więcej pojawia się nowości. Księgarnia T. Paprockiego przysłała nam w tłumaczeniu powieść norweską p. t. *Niobe*, napisaną przez Jonasa Lie. Powieść to bardzo oryginalna, bardzo smutna i — bardzo prawdziwa. Młode pokolenie dawnymi pogardza ideałami. Nie opierając się na rozumie poprzedników, szuka dróg nowych, w swym przekonaniu lepszych. Rady rodzicielskie ma za nie — zdania ojców odpiera jako przesadę, własnym tylko rozumem i z teorii nabytym doświadczeniem uściela przyszłość sobie. Lecz wszystko się gmatwa w sposób niezmiernie tragiczny, szczęście cichej a zacnej rodziny zostaje zniszczone, ba, nawet ratując od hańby syna, zacy doktor nawpółbez-wiednie zbrodniarzem się staje. Uosobieniem *Niobe* jest matka — wszystkie pioruny nieszczęść w jej piersi uderzały.

Powieść warta odczytania — tłumaczenie tylko jest bardzo niepoprawne. Krom tego, są błędy językowe, coraz częściej pojawiające się u nas, a które unikać należy. „Od czasu do czasu” zamiast „kiedy niekiedy.” „Nie miał *dlużej* wiary” zamiast *już*; „żeby” zam. *gdyby* „czad” zam. *swąd*; „jak” zam. *niż*; „czem większe” zam. *im większe*; i t. d.

Od pewnego czasu, dziwnym zbiegiem okoliczności, w chwili, gdy mam zakończyć z wami gawędę, szanowni czytelnicy, wpada mi do ucha wieść smutna. I dziś się tak samo zdarzyło, doniosły dzienniki o śmierci Zygmunta Kaczkowskiego.

Zygmunt Kaczkowski —

Achl gdybyśmy temu lat trzydzieści kilka dowiedzieli się o tym zgonie, wieść podobną nazwalibyśmy piorunującą. „Umarł Kaczkowski?” zawołalibyśmy z przerażeniem — autor *Anuncyaty*, *Grobu Nieczui*, *Murdelia*, *Braci ślubnych*, *Wnuczat*, *Rozbitka*, *Bajronisty* i tylu a tylu innych dzieł świetnych, którymi się karmiły nasze serca i umysły?... Strata byłaby tak bolesną, tak wielką, tak szeroko odczuta, że popłynąłby jeden szepć ciężkiego westchnienia. Pamiętam czem był Kaczkowski z lat onych, z jakim drżeniem serca brano każdy jego utwór do ręki, jak rozchwytywano prace wielkiego pisarza, z niepokojem oczekując dzieł dalszych. Jak dziś Sienkiewicz, tak dawniej Kaczkowski na ustach był wszystkich — Ale nieubłagany czas w swym pochodzie szedł naprzód i naprzód, pokolenia dawne do grobów się kładły, rodziły się nowe; nowe gwiazdy zabłyśły a dawne, powoli, pokrywał mrok zapomnienia. Nie dość jest żyć wśród obecnych, by pamiętać o sobie zatrzymać: potrzeba odzywać się wciąż do nich, powtarzać co chwila: jestem!

Kaczkowski po napisaniu „*Grafa Raka*” i „*Olbrachtowych rycerzy*,” umilkł. Graf Rak nie sprawił już wrażenia na czytelnikach dzisiejszych, a Olbrachtowi rycerze, prawdziwa perła naszej literatury — nie znaleźli w społeczeństwie odgłosu. Pył coraz grubsza warstwa przysypywał pamięć pisarza — jego miejsce zajęli nowi pracownicy pióra, zapomnienie było zupełne. Na starość, zamieszkując w Paryżu, nie miał prawie wcale stosunków z rodakami. Pióro zmienił na spekulacje finansowe i na tej drodze, sam przez się zamożny, do dużej doszedł fortuny. Nikt nie wiedział, że od trzech miesięcy złożony ciężką chorobą, dogorywał ten, który w swoim czasie poruszał umysły i serca zapalał. Śmierć dopiero przypomniła go nam.

Według ostatniej woli zmarłego śmiertelne szczątki zostały złożone na cmentarzu Montmorency. Pomimo znacznej fortuny, jaką nieboszczyk zostawił, pogrzeb był najniższej klasy. Czterdziestu zaledwo rodaków szło za trumną wielkiego pisarza, lecz do bram cmentarnych tylko szesnastu z nich doszło. Dla czego ta obojętność, to zapomnienie? Czy tak się kłaseć do grobu powinni ci, którzy byli chlubą naszą?

Oczuję ciężar ogromny i jakiś niezmierny smutek...

?

Promyk szczęścia.

URYWEK Z ŻYCIA,

skreślił

JAN KENAJ.

(Dalszy ciąg).

Powóz niedługo zajechał i wyruszone. Cudną drogą dojechali do miejscowości położonej dość wysoko, skąd można było pieszo dojść do najpiękniejszych okolic, nie chodząc, zbytnio pod górę — czego Janec nie było wolno. — Oboje skwapliwie wysiedli i pnąc się po łagodnej spadzistości między skałami, zachwycali się cudną błękitną perspektywą, świeżością i czystością powietrza, chmurkami, które wisiały na jednej z niemi wysokości i zasłaniały cząstki widnokręgu — i szli coraz wyżej i wyżej, — a gdy chmura jaka podeszła ich blisko, Janca cieszyła się jak dziecko i mówiła, że chciałaby tak po tej chmurce płynąć jak w łodzi złocistej i bratać się z orłami, ale — mówiła — i tak mię jeden orzeł wziął w opiekę i zaprowadził tak wysoko, że nielada ptak tutaj doleci...

Rzeczywiście znajdowali się na jednej z największych wyniosłości okolicznych, z kądem oko biegło swobodnie i daleko w szereg dolin i wzgórz pokrytych lasem — niknących w świetlanej mgle oddale — lub zatrzymywał się z rozkoszą na siwym, srebrnemi wstęgi porzniętym pasie Alp, zadymionych — gdzieś tam chmurami — błyszczących w słońcu.

Po widnokręgu pływały białawe chmurki i opasywały skały, rwały się na strzępy, — płynęły dalej i zamieniały się coraz bardziej w koronkową tkaninę — pajęczą i świetlaną — fantastyczną i ruchliwą.

Wiatr był łagodny, czysty i świeży...

Zygmunt trzymał dłoń Janki w swojej — pokazywał jej te cuda i patrząc jej w oczy pytał, czy pamięta krajobraz? — czy pamięta?...

Janka zwróciła na niego swoje błyszczące, podobne do górskich jezior oczu i twarzy jej zadrgała wzruszeniem — ścisnęła go silnie za rękę i nie mogła słowa wymówić.

A jemu dusza napełniła się szczęściem — podniósł w milczeniu jej rączkę do swych gorących warg i trzymał długo...

A na sąsiednim szczycie zbudził się jakiś orzeł, — rozpostarł szerokie skrzydła i popłynął w dal — w chmury — poruszywszy pod sobą jakiś okrucień skały... Kamień szeleścił i nurkował w trawie — mruczał głucho i podskakiwał — z głucho tętetem zlatywał na dół, w potężnych podskokach bijąc ziemię — hucając i warcząc — skoczył wreszcie jak olbrzym — dźwięknął o brzeg skały — i runął w przepaść ciągnąc za sobą szumiący potok kamieni.

I długo jeszcze słyhać było ginące na dnie łoskoty i huki — szumy i dźwięki... — Góry podchwyciły te głosy i napełniły się niejasnym szumem — szeptaniem — i niosły je między siebie coraz dalej i dalej z wiatrem i chmurami — coraz mniej wyraźne — ginące...

I niewiadomo było — czy szeptały sobie o orłach — czy też o miłości...

I tak im schodziły dni — szczęśliwe, jasne i słoneczne, — pełne śmiechu, zabaw, żartów, przekomarzań się, — a czasami tych nieśmiałych jeszcze lecz radosnych zaglądań w przyszłość — przy których serce bije jak młotem, głowa się zawraca — a duszę opanowuje jakaś niemoc słodka i jakby bojaźń szczęścia... — Dni pełne tych słów urywanych, nie-domawianych zdań, przelotnych spojrzeń — gorących i mglistych — tych uściśnięć rąk, pocałunków na nich składanych — tych róż, widoków, drzew, — skał — gwiazd, — z których, każda miała potem swoją nazwę, swoje wspomnienie i swoje miejsce w sercu — każda łączyła jeszcze bardziej — dodawała jeszcze jedną różę do tego wianka, który jednoczył

dwa serca — i upajała je wonią, czarowała widokiem, zamieniając rzeczywistość w jakiś cudny sen...

I w tym śnie wszystko było im nowe i piękne, wszystko przybierało kształty nadzwyczajne, uroczne i szczęśliwe — miłosne i słodkie, lub wesołe i radosne. O tym realnym rzeczywistym świecie dowiadawali się jak przez mgłę, i ze zdumieniem słuchali że trzeba iść już spać, iść na obiad lub na śniadanie. Skąd by im to do głowy przyszło!

Czasami śmieli się po całych dniach i sami nie wiedzieli z czego — ze szczęścia które im się w sercach nie mieściło. Wystarczało, by Marzejski ze sąsiedniej willi przyszedł bez kapelusza, ale jak zwykle z różami w ręku, by Janec ugrzązł gdzieś w kamieniach pantofelek, a Marzejski niby szukając go twierdził że to pewno Janki buci, by Janec cokolwiek zginęło — bo wtedy szukało się tego wśród wesołości, aluzji, rwań kwiatów, spojrzeń, niespodzianych sytuacji...

Nie wiedzieli wcale, jak schodził im czas... Zygmunt stał do domu listy, donoszące o swym nadmiernym szczęściu, pełne szalonych projektów — marzeń — i tej radości, co piersi rozpiera i wybucha przy lada okazji wulkanami śmiechu i humoru. — Cały przemienił się w miłość — radość...

I gdy otrzymał od matki wiadomość, że Józia przyjechała wkrótce po jego wyjeździe, że jest bardzo ładna i zachwycała się jego *Fragmentem*, dowodząc że to jest początek genialnego dzieła — roześmiał się serdecznie i pomyślał że jest tu ktoś, co go lepiej zrozumiał — jest taka miła — śliczna. Kochana Janka — ah jaka kochana!...

I ujrzał ją jak na jawie — z przechyloną na bok główką, jak się figlarnie uśmiecha, odsłaniając rząd cudownych ząbków — różyczka... różyczka moja... szeptał i wyciągał ręce — chce ją pochwycić w ramiona, ale ona zręcznie się wymyka — śmieje się jak dzwonek — ucieka. — Czuję znów na oczach jakieś małe rączki — i jakiś głosik niby zmieniony pyta: niech Zygmuś pozna kto — to taki!... On chwytą te kochane rączki i całuje, całuje bez pamięci...

Siadł w otwartym oknie, od którego były rzeźwiące wonie górskich pól — wpatrzył się w srebrem migające drzewa — w jezioro z pasem srebrnym księżycą pośrodku w góry spowite błękitnym тумanem nocy — i słodkość jakaś rzewna i szczęśliwa zalewała mu piersi — upajała...

Przesiedział tak do rana — i nie wiedział, czy marzył, czy śnił...

Kochał...

Na drugi dzień rano nie zastał jak zwykle Janki na werendzie.

— A to zasnęła! — pomyślał wesoło i wnet począł układać sobie w duchu, jakiego on jej za to figla może spłatać. Aha! — najlepiej powie jej że takim niegrzecznym dzieciom, co długo śpią, nie warto dawać kwiatów — i schowa te róże co przyniósł z ogrodu. Ona będzie ich szukała, będzie się dąsać, przymilać, może nie da nawet rączki do pocałowania... Ale jak oni się ślicznie pogodzą!...

Uśmiechnął się wesoło na to przypuszczenie, wbiegł szybko na schodki od werendy i uchylił drzwi.

— A cóż to mała Janinka tak długo spi! — ładnie! ładnie! — zawołał wsuwając głowę.

W pierwszym pokoju nie było nikogo. — Masz tobie — mruknął zły, że mu się wstęp nie udał, ale ledwo wszedł zupełnie, otwarły się drugie drzwi i ukazała się w nich pani Wolska, której oczy były czerwone i nabrzmiałe.

— Co... panią oczy bolą? — spytał Zygmunt, myśląc zarazem, że jednak jest w tem coś dziwnego.

Twarz pani Wolskiej zadrgała.

— Janka... zaczęła...

— Co się stało?!

— Janka... zachorowała...

— Zachorowała?!

— Miała... atak...

— Atak!...

Nastąpiła cisza. Marzejski patrzył oślepiałym wzrokiem na bladą twarz pani Wolskiej, po której cicho toczyły się łzy i czuł niejasno że tu coś runęło — uderzyło straszliwie w jego mózg i serce.

Na ustach błakał mu się bezmyślny uśmiech... wodził ręką po czole, — podszedł do stołu — położył

różę—siadł—wstał znowu—i nagle zerwał się ku drzwiom.

Lecz pani Wolska wstrzymała go gwałtownie.

— Stójże!—przestraszysz ją!—nie leć tak!...

Zygmunt patrzył na nią nieprzytomnie.

— Ona śpi... dodała.

— Śpi... powtórzył bezmyślnie...

Nagle zadrgało mu coś ogromnego w piersi, łzy puściły się z oczu.

— Ja... spokojnie... zobaczę... wyjąkał.

Drżącą dłońią popchnął w półotwarte drzwi.

Janka nie spała. Na bladej jej twarzy czuła się ledwie dostrzegalny uśmiech ironiczny.

Niepewnym krokiem zbliżył się do jej łóżka. Dławił w sobie łkania. Pochylił się ku jej rączce i zaczął ją całować ze czcią, miłością i rozpaczą...

Spojrzał jej w oczy — i twarzyczka jej straciła swój ironiczny wyraz. Oczy jej zasłzyły mgłą — mignęła w nich rozpacz i żal — potem zagościło w nich jakby przerażenie — patrzyła na niego nieruchomo — długo — i wreszcie usta jej zadrgały — oczy zaszkliły się łzami... Ledwie dosłyszalnym głosem szepnęła:

— Czy ty mi... przebaczysz?...

Zygmunt rozplakał się jak dziecko...

I przebył tak koło niej do wieczora — klęczał — zrywał się — siadał — patrzył na nią jak w bóstwo — gdy oczy przymykała, drętwiał z przerażenia — w głowie mu wirowały szalone nadzieje, gdy ujrzał rumieniec na jej twarzy — i rozpaczał, bo widział jak gorączka się zwiększa, jak wypalają się w jego kochaniu ostatnie iskielki życia — biegał jak szalony po lekarstwie dla niej — i chwyciła go chęć strzaskać głowę o kamienie...

I raz gdy szedł do apteki, spotkał go kuzynek Staś.

— Aa! — bon jour! — co to pan bez kapelusza? — zawołał, zatrzymując go za rękę.

Zygmunt spojrzał na niego nieprzytomnie.

— Pan wyglądasz jak... Vous êtes malade peut-être? — Nie? — A jakże ma belle cousine? — zawsze comme une rhose?...

Co on mówi? — czego on od niej chce? — Chciał wyrwać się i odejść, ale Stach przytrzymał go znowu:

— Co? — może niezdrowa? — pytał dalej.

Niezdrowa?! — co on mówi?!

— Czego pan chcesz?!

— Ja? — ja chcę tylko — je voulais savoir — czy ma belle cousine nie jest une... niech no pan poczekał bo — savez vous — moi! — ja jestem un phtysique! — niech pan nie odchodził! — Ja jestem condamné à mort! — bo wie pan, co mnie powiedział hrabia... — Panie! — un instant! — powiedział że suchotnik — to — słuchaj pan! — to żyjący trup!

— Aaa!... — Błaźni! — krzyknął straszliwie Marzejski i ścisnął mu żelazną dłońią rękę — kto jest żyjący trup? co? — spytał zdławionym głosem. Zbliżył swoją wykrzywioną twarz do jego drgającej ze strachu twarzy i zaczął mówić sycząc i nieprzytomnie:

— Ty!... żywy... zdrowy człowieku... Ty!... ty... kotrzel!...

I wtem odepchnął go z taką siłą, że kuzynek potoczył się o kilka kroków — patrzył za nim przez chwilę nieprzytomnie — ścisnął się za głowę i zaczął iść chwiejnym krokiem gdzieś przed siebie...

Szedł tak szedł długo i nie wiedział gdzie idzie — miał pustkę w głowie — a zarazem jakiś straszny ciężar... Czasami tylko podnosiły się tam jakieś potężne wiry — wypływały z chaosu mrugające oczki „Stasia” i słyszał wtedy jego skrzeczący głos: żyjący trup! — żyjący trup! — I nagle przypomniał sobie, że on powinien iść do niej — powinien być tam koniecznie — i pędem pobiegł do jej willi.

Przez drogę opadały go straszne myśli. Tak długo jak już wyszedł, już ciemno na dworze, co tam się tymczasem stać mogło! Dla Boga, jeżeli on zastanie tam Janke... bardziej jeszcze chorą? — Przyspieszał biegu i myślał, że już lampy wszędzie powinny być zapalone... więc i u niej w oknach...

Co? — Ciemno?!

Stał jak wryty. Willa stała ciemna i cicha... zupełnie cicha... tylko wiatr szumiał w pobliskich drzewach... tylko okiennica wisząca na jednym haku co chwila głucho uderzała o ścianę... Wiatr

huczał mu w uszach i zdało mu się że słyszy jak wyje, naigrawając się z niego: żyjący trup! żyjący trup! — Ogarniać go zaczął jakiś głuchy tępy strach — i chodził mrówkami po plecach, włosy podnosił na głowie...

W mózgu znowu zaczęło mu mętnieć i szumieć — nerwowo uchwycił się poręczy od schodków werendy i zaczął wchodzić z trudnością po skrzypiących stopniach... Nogi mu drżały... chwiejnym krokiem zbliżył się do drzwi... Za niemi czarno... i cisza... ach jaka cisza!... — Cóż wielkiego? — przecież ona pewno śpi... A jednak... Ciemno i ciemno... Zdaje mu się że wchodzi w jakąś straszną oteflań czarną — bez dna — a w niej pustka i chłód... On nie przejdzie przez ten pokój... nogi suwają mu się zaledwie po podłodze... robi mu się zimno — gorąco... znowu zimno... oddechu w piersi zabrakło... Dla Boga!... żeby się kto choć odezwał!... Przystanął... drżącą dłońią sięgnął do czoła, zlanego zimnym potem... — Coś stuknęło!

Ah, to okiennica... Wsparł się na jakimś krześle... Włosy zjeżyły mu się na głowie... chwycił go obłęd... Przerwać tę ciszę... bo oszaleje... Chciałby wrzeszczeć — wyc... otworzył usta — i nie mógł wydobyć głosu...

— Ona śpi — wyszeptał mu ktoś nad uchem. — Śpi? — to — jej matka!...

Oślabł ze wzruszenia i radości... zaćmiło mu się w oczach i nie wiedział jak podszedł do łóżka Janki — śpi... tak... oddycha... kochanie... różyczka... jego różyczka najdroższa... schylił się ostrożnie i ucałował jej włoski... ona tak równo oddycha... ona będzie zdrowa... napewno... tak... napewno... jedyna... kochana...

Stał tak nad nią pochylony, słuchał jej oddechu i wstępowała w niego jakaś nieśmiała nadzieja... Zaczął przypuszczać, że to właśnie sen będzie dla niej zbawienym... nie trzeba jej przerywać... Odszedł ostrożnie, postawił obok niej jakieś krzesło — siadł i postanowił nie ruszać się stąd już wcale.

Dopiero teraz uczył że jest ogromnie zmęczony. W skroniach ciężko biły mu tętna, w mózgu miał chaos obrazów i wrażeń — próbował skupić myśli — ale nie mógł myśleć o niczem. Jak przez mgłę usłyszał, że pani Wolska siadła gdzieś w kącie i cicho zaczęła szeptać modlitwy. Oparł się o poręcz krzesła i uczył że mu tak dobrze, że mu się oczy kleją — że powieki ma jakieś ciężkie i leniwe. Głowa też senna i ocieżała. Myśli mu się rozchodziły... Cicho i ciemno... tylko okiennica czasami głucho uderzała o ścianę. Wiatr szumiał za oknem... W zmęconą jego wyobraźnię zaczął się wkradać nieokreślony niepokój... Przez mgłę zmroku przedmioty wydawały się fantastyczne i jakby ruchliwe. Marzenia jakieś wpół senne wkradały się do mózgu i mieszały się z rzeczywistością. — Opędzał im się jak mógł, próbował otworzyć oczy — ani rusz — wszędzie ciemno i ciemno... zniknął światła... w tych ciemnościach coś pływa... coś się zbliża... on musi otworzyć oczy... o... tak... już otworzył, ale ciągle czarno... pusto... nie... nie pusto! — z ciemności wyłania się jakaś blada twarz o oczach szklistych i oślepiających... i pływa w ciemnym przestworzu... zbliża się do niego... chłód od niej wieje przemijający... i dreszczem go napełnia... głowa znów oddała się od niego — maleje... teraz raptownie przypada do niego — ożywia się — oczy jej błyszczą — rumieniec występuje na bladej twarzy — usta się rozchylają — przeglądają perłowe ząbki... To ona — to Janka! — śmieje się do niego, usteczka jej drgają rozkosznie, wabią pocałunki — zbliża się coraz bardziej — lekka jak motyl siadła mu na kolana, niewidzialnym rączkami opłótła mu szyję — przytuliła usta gorące, do jego szczęśliwych warg — piersi oparła o piersi...

Lecz skąd nagle taka siła wstąpiła w jej ręce — ścisnęła go aż do bólu — tamuje oddech w piersi... Oczy jej błyszczące dawniej stają się nagle czarne, matowe, bez blasku — coraz większe... Ciemne, olbrzymie doły je zastępują, kość jakaś bezwłosa, błyszcząca i twarda nad niemi — dwie szczęki olbrzymie gniotą w szerokim uśmiechu jego usta... On chce krzyczeć w śmiertelnym przerażeniu — odpycha potworny kościotrup od siebie — nie może krzyczeć, nie może się ruszyć! — Twarde kościiste ręce duszą go coraz straszniej, oddechu mu nie staje — słyszy chychot jakiś dziki — czuje mdły mogilny zapach — oddechu! — oddechu!...

— Ha, ha, ha, ha!... poznajesz mnie?!... to ja! Janka! ha, ha, ha! kocham cię! kocham cię!... chychocze dziko kościotrup — wyszczerza swoje czarne oczodoły — ścisną go jak żelazem — zębami wżera mu się w ciało — porywa gdzieś w czarną przestrzeń. Śmierć nadchodzi... dusi się... myśli giną... Ratunku! — Aaaa!... krzyknął wreszcie, nadludzkim wysiłkiem wyrwa się z objęć potwora — skacze — staje na czemś twardem...

... Ciemno... czarno... gdzie on jest?!... co to za szmer?!

— Kto to?!! — krzyczy, gdy ktoś dotyka jego ramienia.

— Cicho! co się stało?! co się tak zerwał? — słyszy jakiś drżący szept nad uchem.

Dygocze jeszcze z przerażenia, nie wie co się z nim dzieje.

— Dla Boga, co się stało?! słyszy głośniejszy już szept i ktoś chwyci go gwałtownie za rękę.

— Gdzie Janka?... pyta nawpół przytomnie.

— Janka tu śpi. Co ci się stało?!

— Mamo kto tu jest?

W jednej chwili już był przy niej, chwycił jej dłoń, ścisnął, czuł, że krew w nich pulsuje — przyciskał je do ust w uniesieniu.

— Czego ty tak drżysz?...

On usunął się na kolana, szeptał jakieś wyrazy bez związku, całował jej ręce... Od czasu do czasu wstrząsał się gwałtownie.

— Miałem taki straszny sen... — wyszeptał wreszcie... ukrył głowę w fałdach jej głowy i klęczał nieruchomo.

Nikt nie pytał co to był za sen...

Pani Wolska położyła delikatnie dłoń na jego ramieniu i poradziła, by trochę odpoczął — ona zapali mu światło w drugim pokoju, a sama posiedzi przy Jance — a najlepiej niech on pójdzie spać.

Ale Zygmunt potrząsnął tylko głową w milczeniu i czuł, że nie odejdzie teraz stąd za nic w świecie — potrzebował spokoju po strasznym wstrząśnieniu, potrzebował pewności, że ona żyje.

Więc pani Wolska popatrzyła chwilę na niego i oczy jej napełniły się łzami... Wysła do drugiego pokoju, by się rozplakać strasznie — bez głosu... Rozpacz była patrzeć na jego miłość...

(Dokończenie nastąpi).

Kazimierz Gliński.

„PLON NIESIEM.”

Komedia w 2 aktach.

(Dalszy ciąg).

Karolina (podbiega do Rozalji). Jesteś na dobrej drodze.

Rozalja. Nie rozumiem — Linko!

Karolina. Słyszałam coś szepnęła mężowi.

Rozalja (spuszczając oczy). Przypomniałam mu tylko dane, niegdyś, słowo.

Karolina. Jesteś pewna, że go dotrzyma?

Rozalja. Jak, że ciebie widzę przed sobą.

Karolina. Korzystaj więc — zwiąż go tem przypomnieniem najpiękniejszych chwil życia, w których serce nie liczy uderzeń, słowa nie wąż się na szali rozsądku. Lada dzień Szwareberg znów do was załazi, i — idealne mrzonki prysną przed silniejszym naciskiem, tak, jak ty, ukochanej istoty.

Rozalja (rzucając się na krzesło). Niel... to za wielki ból mu sprawił...

Karolina (klekając przy niej). Zrazu mu nie mów nic, niech on sam pierwszy zobaczy twój smutek i łzy, których znów bardzo nie ukrywaj przed nim. Zrozumie sam przecie, że ciebie więzić nie można, trzymać w oddaleniu od świata, który drga pełnią życia i — wzywa ciebie. Mój Boże! jaka z ciebie pensjonareczka jeszcze, nierozwinięty kwiatek stor-

czyka. Ale dość jednego błysku słonecznego promienia, by kwiatek się rozwinął, poznał siebie, zrozumiał moc swoich wdzięków i to, co mu się od świata należy. Wyobrażam już sobie pierwsze a tryumfalne twoje wejście na jego arenę. To, co ci dotąd tylko mówiło zwierciadło, teraz powiedzą usta wybrednych smakoszków. Nowa gwiazdka błysnie na horyzoncie naszych salonów, gwiazdka tak piękna, że oszaleją zmysły, obłąkają się serca i będziesz je widziała u nóg swoich wraz z deszczem kwiatów, poznasz co znaczy upojenie i—rozkosz!... *(Tuli ją)* Moja Rozalko!... nie grzechem jest kilka serc mezkich oplątać i uśmiech posłać ukradkiem i przelotny uścisk ręki, ten niewinny, a rozkoszny flirt salonów. Zobaczysz, jak się odmienisz w sobie, jakie czary przepełnią pierś twoją. Dni ci nie będą upływały tak jednostajnie, jak tutaj, gdzie dziś, jutro i pojutrze: mąż, chłop i idea, to jest: zwracanie głowy tak nie nie wiedzącym stworzonkom, do jakich ty należysz. Tu życie ci płynie, jak leniwy strumyk po piasku, a tam wre potok górski, tłum istot, podobnych do ciebie, lecz mniej pięknych od ciebie, pełnymi garściami zrywa szczęście i rozkosz; tam wino i śpiew, zachwyt i czar, użycie życia, gromadzenie pamiątek i wspomnień na—lata stare.

Rozalja *(chwytając ją za rękę)*. Linko!

Karolina. Co, duszo moja?

Rozalja. Ja jeszcze młoda jestem — —

Karolina. Stulistna róża w pełnym rozkwicie.

Rozalja. Poczem zacznie opadać listek po listku, barwy błędną, aromat znika... a później—starość, bez wspomnień nawet.

Karolina. Doskonale mnie rozumiałaś!

Rozalja. Niedobry Zygmunt!...

Karolina. Cóż znowu za przypuszczenie! mężowie tylko niezupełnie dobrze nas pojmują; dla nich dość, jeżeli mają wciąż zwrócone na siebie oczy piękne, tak piękne, jak twoje, na przykład; jeżeli na zażądanie mogą usta nasze całować i według upodobania swego kierować nami. Dla nich to może wystarcza, ale dla nas—nie! Ot ty, masz młodość—dar niepowtarzający się nigdy; piękność, dar rzadki na ziemi, przez bogów wybranym dany, te dwa warunki dające ci niezaprzeczone prawo do życia, nie tu tylko, by z dziećmi ślezyć i a. b. c. powtarzać lub pieśni nabożne, jak babka kościelna, śpiewać. Ach, Boże—to takie nudne, klasztorne jakieś! Na ziemi jest wiosna i słońce, miłość i upojenie, rąbków tajemnic tyle i ciekawości tyle, a ty zamknięta, jak w klatce siedzisz, tych czarów nawet nieprzewidująca. Gdybym mniej znała twojego męża, mogłabym go podejrzewać o samolubstwo brzydkie. Nie—nie!... mąż twój musi Kopfdorf czy Kopki sprzedać i wrócić nam ciebie, roztęsknionym za dawną Rózią, do której—pamiętasz—ach! jak umizgali się wszyscy studenci, a ten brunet, Karolek (żyje jeszcze) dotąd zapomnieć ciebie nie może.

Rozalja. Doprawdy?...

Karolina. A któżby ciebie, raz ujrzawszy, mógł zapomnieć? Szaleją za nim z najwyższych sfer kobiety, ale jego serce—to skała prawdziwa! Nie drsnęły go nawet strzały Kupidyna—ach! nie z twojej puszczone rączki. Ja nawet—przyznam ci się pod sekretem, zbałamucić go trochę chciałam—ach! tak pragnęłam w motyli romansik z nim się zabawić—i—nie udało się... Czy ja wiem—może on jeszcze myśli o tobie. Trudno to jednak do zgryzienia orzeszek!

Rozalja. Ty wesoło czas przepędzasz — —

Karolina *(szepem)*. Bardzo wesoło... Czasem śnię słicznie, czasem sen w rzeczywistość się zmienia. Stanie przede mną zagadka jakaś, coś, w rodzaju tajemnicy, czy owocu zakazanego—podpatrzę, odurzę się na chwilę... i—widzisz, czy źle mi jest?

Rozalja. A mąż twój?

Karolina. Mój mąż—patrzy tak!...

Rozalja. Nie! ja pytam czy i mąż twój się bawi?

Karolina. Oczywiście!... a ty?

Rozalja. Śpiewam — uczę dzieci... Cha—cha—cha!...

Karolina. Cha—cha—cha!

Razem. Cha—cha—cha—cha—cha!...

(Śmieją się).

Karolina. No—ty masz łzy w oczach!...

Rozalja. Pokazałaś mi świat, którego nie znałam dotąd, za mgłą jeszcze, lecz już nęcący... Tańiec, śpiew, upojenie...

Karolina. Miłość—czar — — —

Rozalja. Jak mi się w głowie kręci — — —

Karolina *(d. s.)*. Ha—panie Zygmuncie, nie lepszą i ona ode mnie będzie!...

(Wchodzi Wojciech).

Wojciech. Proszę państwa na obiad.

Rozalja *(drgnąwszy)*. Co?

Wojciech. Panowie wrócili z przechadzki a zupa na stole.

Rozalja. Dobrze—zaraz...

Karolina. Nie poddawaj się tylko!...

(W drzwiach staje Zygmunt).

Zygmunt. Panie?...

Rozalja. Idziemy... Chodź Linko!...

(Wychodzą).

Wojciech *(sam)*. Hansa kindery krakowiaki śpiewają... *(parska śmiechem)*. W Kopfdorfie tego nie bywało jeszcze.

(Wchodzi dziewczęta i parobcy wiejscy).

Wojciech. A wy tu czego?

Parobczak. Jaktó czego? A czy to ociec nie wie, co to jest godzina do śpiewania nabożnych pieśni przeznaczona?

Wojciech *(patrzy na zegar)*. Chryste Panie!... a toć to i wieczór nie za górami. To wszystko bez to państwo, co z Warszawy przyjechali: pierogów trzeba było domiesić, kureczakowi karku ukłócić i galarety dodać, ale, bez pośpiechu, kucharka pierogi w ceber z pomyjami wyrzuciła, kureczak gdzieś się zapodział, że go z ledwością znalazła a galareta stojąc nie chciała. Mówiła, że to wszystko dla tego się stało, co jej Hans przeszedł drogę, abo ja wiem—może to i prawda!

Parobczak. Już to niedobrze jest, ociec, jeżeli Hansa spotkać.

Wojciech. Ee?

Parobczak. Łońskiego roku, kiej drogę przeszedł Marcinowej, to zaraz i trojaki przywiódł.

(Śmiech).

Jedna z kobiet *(zatluta mu usta)*. Cicho—niestwor!

Parobczak. Abo nie?

Parobczak 2. Dziewuchy śmigają przed nim, jak od zapowietrzonego.

Głosy dziewcząt. O la la!...

(Wchodzi dziad).

Dziad. Niech będzie pochwalony.

Wojciech. Na wieki wieków.

Dziad. Gości macie?

Wojciech. A są.

Dziad. Niemcy?

Wojciech. Swojacy.

Dziad. A z kąd?

Wojciech. Z Warszawy.

Dziad. Ho—ho!... z dalekości przyjechali—ale to naszej pani nie przeszkodzi zejść do nas?

Wojciech. Pewnikiem—tyło Klempicka z obja-dem pomarudziła. Śpiewajta sobie, a ja pójdę do państwa i powiem, co wy jesteście.

Dziad. A powiedzcie, gdy łaska.

Dziewczyna. Słuchajcie no, ociec, może lepiej nie przerywać pani zabawy?...

Dziad. A może i lepiej.

Parobczak. Marychna ma racyjom... Przyjdzie nie przyjdzie, to już jak się jej podoba. Poczekamy drobinę i sami dziś Pana Boga chwalić będziemy. Stary zacznie, Kachna pomoże i już.

Różne głosy: Dobrze Jontek mówi—niech i ona zabawę ma swoją.

Tak—tak!...

Dobra pani!...

Tyło z nami i z nami!

Daj jej Boże królowanie!...

Śpiewanie posłyszysz i przyjdzie.

Ojej!

Przyjdzie!...

Dziad. Pssst!... A to harmider, jakby nie na chwalenie Pana Boga, a na kiermasz przyszła!

(Tu i tam śmiech).

Wojciech *(spozostzegając dwóch maleców)*. A to co za bębny?

(Śmiech ogólny).

Parobczak. To kindery Hansa.

Dziad. Wyrwały się juchy, że ich stary i dożreć nie mógł.

Dziewczyna. A wiecie, ociec, co my urządzili sobie?

Dziad. Kto urządził?

Dziewczyna. No my, my—dziewuchy!...

Dziad. A hej?

Dziewczyna. Za dziadków naszych, kiedy już z pola ostatni kłosek żółto, do dworu okrężne szło i przygodne pieśni śpiewano. Pani Rozalja mówiła, że haj, w Królestwie, ludzie śpiewają jeszcze, ale trudno namawiać jej było, byśmy do dworu szli z podzięką za zyczeniami. Ale teraz żniwo się kończy i my same do dworu z pieśnią pójdziemy i przodownicą na czele. Michałek ułożył wierszyki do pana i pani i my wraz zaśpiewamy państwu. Jak wam się to podoba, ociec?

Dziad. Dobrze, dobrze dziewczuchy! pójdę i ja z wami a ryknę basem.

Parobczak. I my—i my!...

Malcy Hansa. I my!

Parobcy. Wiwaaa!... Będzie okrężne — —

Dziad. Pssst! nie harmidrujta tak!... Ojej—słoneczko za lasy się schowało, pomroczyło na świecie—a pani niema... No, zaśpiewajmy sami „Pieśń wieczorną“ i na nockę do chałup!

Parę głosów. Zaczynajcie, ociec!...

(Kłękają. Dziad zaczyna—głos po głosie się łączy i pieśń brzmi chórem).

„Wszystkie nasze dzienne sprawy

„Przyjm litośnie Boże prawy,

„A gdy będziemy zasypiali,

„Niech cię nawet sen nasz chwali!...“

(Wchodzi Rozalja—pieśń milknie na chwilę).

Dziad. Pani przyszła *(choce wstać)*.

Rozalja. Śpiewajcie—ja z wami będę...

(Rzuca się na klęczki, chowając twarz w dłonie. W drzwiach stają: Zygmunt—Leon—Karolina i Wojciech. Pieśń brzmi dalej, bez udziału tylko Rozalji).

„Twoje oczy obrócone

„Dzień i noc patrzą w tę stronę,

„Gdzie niedołężność człowieka

„Twojego ratunku czeka.

„Odwracaj nocne przygody,

„Od wszelakiej broń nas szkody,

„Miej nas wiecznie w swojej pieczy,

„Stróżu i sędzio człowieczy!“

(Pieśń milknie).

Leon *(do Zygmunta)*. A wiesz, że to ładny obrazek!

Zygmunt. Ja tu więcej, niż obrazek widzę.

(Lud wychodzi—zostaje tylko klęcząca Rozalja).

Zygmunt *(podchodzi do niej)*. Rozalko! co dzisiaj jest tobie?

Rozalja *(wstając)*. Nie—nie... Mnie trochę już ta sielanka zmęczyła.

(Idzie do Karoliny—Zygmunt patrzy na nią długo. Kurtyna zapada).

Koniec aktu pierwszego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

SIOSTRY NAPOLEONA.

II.

Paulina Borghese, Księżna Guastalla.

(1780—1825).

(Dalszy ciąg).

Najpiękniejszą epoką w życiu Pauliny Leclerc, dołą uszanowaną nawet przez Turquan'a, jest pobyt jej na San-Domingo. Wobec trudnych okoliczności i grozy położenia, w pięknej wietrznicy zawrzała krew Bonapartych. „Królowa strojów,” zamienia się też w oczach wszystkich w bohaterkę, w istotę o dzielnym sercu i nieustraszoną umyśle.

Wyspa San-Domingo, zbuntowawszy się przeciw najezdcom, opanowaną została od 1792 r. przez murzynów. Napoleon, umocniony już w naczelnej swej władzy, postanowił ją zdobyć napowrót i, w tym celu, zorganizował specjalną wyprawę, której naczelne dowództwo powierzone zostało generałowi Leclerc.

Według pani de Rémusat i księżnej d'Abrantés, na odznaczenie to zasługiwali inni, starsi i bardziej doświadczeni wodzowie. Pomimo tego jednak, pierwszy konsul powierzył wyprawę swemu szwagrowi, aby zmuszając wyraźnym rozkazem Paulinę, do towarzyszenia mężowi, przezwyciężyć szaleństwa jej i lekkomyślne awanturki.

Ze piękna generałowa niechętnie opuszczała stolicę świata, by się zakopać wśród dzikich, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Dość powiedzieć, iż opierała się wyjazdowi do ostatecznego stopnia. Dopóki była na lądzie, wszystko kończyło się na gołosłownym proteście. Znalazłszy się jednak, w Brest, wobec morza i perspektywy długiej podróży, doprowadziła opór swój do tego stopnia, iż dwóch baczystych marynarzy zaniósł ją przemocą na okręt.

Niebezpieczeństwo dopiero obudziło w niej ducha. Generał Leclerc niezdolny do kierowania podobną wyprawą, doprowadził do tego, iż: żółta febra, cholera, drobne utarczki i rzeź pojedynczych oddziałów, zdziesiątkowały mu wojsko. Murzyni, rozzuchwaleni, oblegli wreszcie miasto, do którego Leclerc, chory ze zmartwienia, schronił się wraz z żoną i dzieckiem. Zimna krew, okazana w warunkach tych przez Paulinę, mogła zdumieć nawet upalne słońce podzwrotnikowe; to bowiem, co opowiada o odwadze jej Constant, pokojowiec Napoleona, przechodzi wyobrażenie zwykłych śmiertelników.

Oto zanotowane przez niego fakty:

Pod koniec października, 1802 r. generał Leclerc, nakazawszy wojskom swoim opuścić z kolei: Fort-Dauphin i Port de-Paix, schronił się na północ wyspy, do miejscowości zwanej Cap. Niepowodzenia ciągle zachwiały jego zdrowiem. Zbuntowani murzyni, dowiedziawszy się, przez szpiegów, o chorobie naczelnego wodza, postanowili skorzystać z niej, aby, napadając z nienacka białych, rozbić ich ostatecznie. D. 28 października, Christophe, Clervaux i Dessalines, postawieni na czele dwunastu tysięcy czarnych, otoczyli Francuzów, którzy, nie mając wyżej tysiąca ludzi, zmuszeni byli opuścić stanowisko swe w Haut-du-Cap, aby zamknąć się w obrębie samego miasta.

Murzyni poszli dzielnie do ataku; oblężeni odparli go z odwagą rozpacz, wiedzieli bowiem, iż w razie opanowania obozu, zdobywcy nie wypuszczą z niego jednej żywej duszy. Słło już nie o śmierć lub życie, lecz o ostateczne wytopienie się nawzajem.

Generał Leclerc, jakkolwiek ciężko chory, sam kierował obroną, umieściwszy wprawdzie żonę swą i synka, w sercu miasta, w kwaterze głównej swego sztabu. Opiekę nad nią powierzył garści artylerzystów, dowodzonej przez jednego z wiernych swych przyjaciół. Wśród walki, wódz, niepewny jej wyniku, w obawie by murzyni śmiałym atakiem nie złamali linii i nie dotarli do domu chroniącego Paulinę posyła jej przez adjutanta swego rozkaz, aby się schroniła natychmiast na pokład największego statku, stojącego wraz z flotą na kotwicy.

Napróżno jednak i adjutant, i zebrane dokoła niej żony oficerów, namawiały Paulinę do tego kroku; oparła mu się stanowczo a dowodząc, że w domu, u siebie, jest jej najlepiej, dodała:

— Panie możecie się schronić na pokład; co do mnie jednak, odmawiam. Siostra Bonapartego nie ucieka przed niebezpieczeństwem.

Słowa te, wypowiedziane w wirze walki, wśród miasta, oblężonego zewsząd przez nieprzyjacielskie szeregi, musiały wzbudzić podziw i zapal, szlachetnością swą, a lwią odwagą. Nawet niechętny Turquan przyznaje, że choćby one były pozą, to jeszcze pozie tak podniosłej i w tak dobrym smaku, przykładać by należało; ma ona bowiem w sobie cień owego szczytnego bohaterstwa, którem Napoleon ów świat podbił.

Odpowiedź tę dumną przyniesiono generałowi w chwili, gdy murzyni brali już stanowczą przewagę nad białymi. Prerażony, każe on, temu samemu adjutantowi, wracać natychmiast do Pauliny, w razie zaś gdyby nie chciała usłuchać, poleca przywiązać ją przemocą sznurami do fotelu i, tak skrepowaną, przenieść na okręt.

„Siostra Bonapartego nie ucieka przed niebezpieczeństwem,” — młoda kobieta przeto odmówiła powtórnego spełnienia rozkazu, że zaś nie było czasu do stracenia, więc ją skrepowano i przysnurowano do krzesła, a dwóch artylerzystów, porwawszy je, poniosło na pokład.

Trzeci wiódł obok małego Dermida, który „jak Astyanaks, igrający z kłutą, na kasku Hektora,” bawił się, głaszcząc drobnymi rączkami, pióra u hełmu swego artylerzysty.

Za smutnym tym pochodem biegły kobiety z miasta, chcące znaleźć także schronienie na okrętach. Gdy dochodzono już do łodzi, nadszedł wysłaniec generała, donosząc o cofaniu się czarnych.

— A co, — mówiła Paulina, — wszak miałam rację, gdy nie chciałam ruszyć się z miejsca?

Niebezpieczeństwo nie minęło jednak.

Zaledwo bowiem zawrócono się napowrót ku miastu, niosąc ciągle generałową Leclerc przywiązaną do fotelu, gdy oddział zbłąkanych murzynów zaszedł im drogę. Trzeba było dać do nich ognia i wytrzymać strzały nawzajem. W niebezpiecznej tej chwili, artylerzyści nawet podziwiali spokój i zimną krew młodej kobiety, której odwaga mogła być zawstydić starego grenadyera, doświadczonego w dwudziestu już bitwach.

Zwycięstwo, odniesione nad czarnymi, było ostatnim tryumfem generała Leclerc. Wyczerpany fizycznie, położył się natychmiast do łóżka, a atak cholery, przyszedłszy przy takim osłabieniu, zgładził go w nocy, z dnia 1 na 2 listopada 1802 roku.

Paulina Leclerc stanęła i tu na wysokości zadania, równego bohaterstwu. Pomimo bowiem, iż cholera pod zwrotnikiem jest bardzo zaraźliwa, a równa się prawie zawsze śmierci, ona, zajmując miejsce u wezgłowia męża, nie opuściła go ani na chwilę, aż do ostatniego tchnienia.

Złamana sama chorobą, wraca jednak do ojczyzny, wraz z małym swym synkiem, na tym samym okręcie, który wiozł śmiertelne szczątki generała, zamknięte w kosztownej trumnie z cedrowego drzewa. Idzie dalej nawet; dumna bowiem zawsze z cudnych swych włosów, poświęca je cieniem zmarłego i każe obciąć przy skórze.

Paulina, wyładowawszy w Tulonie, porównywana przez pochlebców do Artemidy, wraca do Paryża i roztacza tu, trochę teatralne pozory tragicznej boleści i żałoby. A że piękność jej, zamiast utracić na gwałtownej zmianie klimatu, powróciła z pod równika, z siłą podwójnego, niebywałego blasku, młodziutka ta więc, w kir krepowy zakuta, a przepysznej urody wdowa, musiała ścigać na siebie ogólną uwagę.

Napoleon wszakże, zrażony pierwotnym jej postępowaniem, nie dowierzał już dzisiaj powadze żałoby nawet. Najpierw tedy zażądał słowa honoru, że się będzie zachowywać: spokojnie, z godnością i przyzwyczajenie, a następnie, nieufając widząc zapewnieniom, oddał ją pod specjalną opiekę Józefa Bonaparte i jego żony Julii. Wskutek tego więc, pani Leclerc otrzymała rozkaz zamieszkania u nich, w pałacu Marboeuf, na przedmieściu Św. Honorjusza.

Ciało męża jej, generała Leclerc, zostało równocześnie złożone w Panteonie, z wielką pompą i ho-

norami należnemi naczelnemu wodzowi, który zginął na polu walki z nieprzyjacielem.

Śmierć tego bardzo skromnego pionka, na szachownicy Napoleńskiej, dała nawet pole, do jednego kroku naprzód w przywróceniu etykiety monarszej, na dworze pierwszego konsula. Napoleon bowiem, przywdział żałobę po szwagrze, wobec czego musiał ją przywdziać także cały jego dwór, damy pałacowe, oficerowie i służba, aż do stangretów nawet. Taki żal powszechny, połączony ze zręcznym słówkiem przestrogi, skłonił ambasadorów zagranicznych, do złożenia kondolencji. Wszystko to stało się nagle; nie mieli oni też czasu pytać o rozkazy swych dworów, lecz ubrani czarno, składali hołdy pamięci generała Leclerc, z taką pompą, jak gdyby należało do rodziny panującej, jak gdyby był władcą udzielnym.

Żałoba generałowej Leclerc nie długo trwała. Napoleon zbyt dobrze znał Paulinę; obawa tedy, nowych z jej strony lekkomyślnych wybryków kazała mu skrócić o ile możliwości czas jej wdowieństwa. Fantazja pięknej kobiety zesłała się tym razem z wolą pierwszego konsula; bo gdy pani Leclerc, bez względu na złośliwe języki, zaczęła zbyt jawnie wyróżniać księcia Kamila Borghese, wszechwładny brat jej, chcąc położyć kres plotkom, rozkazał, iż ma ona, tego najwybitniejszego z wielbicieli swoich, poślubić natychmiast.

Jak się wzięła do tego, by oswoić księcia z myślą małżeństwa, — nie wiemy. Musiało to jednak nie przyjść jej zbyt trudno, związek ów bowiem doskonale odpowiadał obu stronom: Bonapartowie pozyłskiwali, na jego mocy, pierwszy, autentyczny, tytuł książęcy w swojej rodzinie, Paulina dwa miliony liwrow rocznej renty, książę upragnione pokrewieństwo z pierwszym konsulem, człowiekiem, który rządził już podówczas jednym z największych państw Europy, a szedł dalej, ku niesłychanym wpływom i władzy.

Książę Kamil Borghese, cioteczny wnuk papieża Pawła V-o, którego matka była Buonaparte z domu, należał do najsłynniejszej i najbogatszej arystokracji rzymskiej. Porwany prądem wielkich idei rewolucyjnych Francji, przyłączył się do wojsk jej i, pod rozkazami Napoleona, odbył już kampanię włoską. Bardzo młody, bo posiadający dwa miliony liwrow rocznej renty, był on przytem ładnym mężczyzną o kruczonych faworytach, gęstych, kędzierzawych włosach i wrodzonej dystynkcji ruchów oraz postawy. Obok wszystkich tych przymiotów, współcześni zarzucają mu wielki brak inteligencji, ale że i Paulina Leclerc nie grzeszyła zbyt wielką wykształcenia, a oboje posiadali ogłódę światową, jako więc dobrze pod tym względem dobrani, musieli odpowiadać sobie nawzajem.

Przybywszy do Paryża, książę Borghese przywiózł tu z sobą wspaniały, a szalony zbytek, do jakiego był przyuczony w Rzymie. Wynajął on cały pałac, przy ulicy Grange-Bateliere, urządził go z przepychem, przyczem posprowadzał konie i zaprzęgi, które, uchodząc za „wzór bogactwa,” ogólną zwracały uwagę. Zwracał ją również: stosunkami swemi, urodą, tańcem, dobrocią charakteru. W tych warunkach, trzeba przypuszczać, iż piękna Paulina mniej była lekkomyślną, niż to ludzie sądzili, pozwalając sobie na zbyt śmiały przedślubny „flircik” z możnym, rzymskim magnatem. Jej ładna główka, uplanowała prawdopodobnie z góry, zdobycie korony księżęcej, której pragnęła od tak dawna.

Układy przeprowadził poseł tokański w Paryżu, kawaler Angiolini. Napoleon wyznaczył siostrze, jako posag, sumę pięciukroć sto tysięcy franków; Józef Bonaparte dodał jej rezydencję swą Montgobert, położoną pod Paryżem; Lucyan, majątek ziemski, zwany Plessis-Chamant. Hojność i solidarność rodziny Bonaparte, gdy chodziło o wyniesienie jednego ze swoich, wzrusza poprostu; a jednak czemuż był ten posag w porównaniu z fortuną pana młodego? Książę Borghese podyktował do intercyzy: dwa miliony rocznego dochodu, o czem wspominaliśmy, galerię rzeźb i obrazów, słynną w całej Europie, a wprost bezcenną oraz zbiór dyamentów, któremi mógł, piękną oblubienicę, obsypać od głowy do stóp jej drobnych.

Małżeństwo zawarte zostało w Mortefontaine, wspaniałej posiadłości Józefa Buonaparte. Państwo młodzi wyjechać mieli do Rzymu, Paulina jednak postawiła za warunek, iż wprawdzie wyczerpi-

wszelkie możliwe, przez rodzinę jej urządzone nroczystości, że wezmą udział we wszystkich zabawach i złożą wizyty poślubne w Paryżu.

O te wizyty chodziło jej głównie. Ona, księżna Borghese, chciała mieć jeszcze sposobność, do upokorzenia znienawidzonej bratowej swej, Józefiny, która pomimo całej wielkości Napoleona, zwała się dotąd poprostu panią Bonaparte.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Buda-Peszt, d. 6 Września 1896 r.

Buda-Peszt należy dzisiaj do jednych z piękniejszych miast w Europie i zwiedzając go, mimo woli, nasuwa się myśl porównawcza z Wiedniem, pod względem bowiem pięknych budowli, trzymanych w tym samym co w Wiedniu stylu, jak również szerokością i kształtem ulic, przypomina bardzo stolicę Austrii a pod niektórymi nawet względami przewyższa ją poniekąd; wyższość tę nadaje mu malownicze położenie i przepiękny Dunaj, mający po stronie Pesztu bulwary zwane „Franz Josefs Quai“ z kąd roztacza się cudowny widok na Budę z wyniosłą górą i imponującym na niej pałacem królewskim, zaś przystęp do jego podwoi ułatwiają tarassy misternie skomplikowane wśród starych zieloności pokrytych drzew a zbudowano je specjalnie dla Cesarzowej Elżbiety, lubującej się w tego rodzaju perspektywach; sąsiednia góra równie wysoka i malowniczo rozłożona stanowi „pendant“ do rezydencji królewskiej, grożąc ze swego szczytu starożytną fortecą, strzegącą jakoby siedziby magarów, z kąd też roztacza się piękny widok na cały Peszt. Ze strony Budy równie piękny imponuje widok na Peszt z całym szeregiem gmachów, robiących wrażenie dużego i ludnego miasta i w rzeczywistości miasto to ruchliwe, z publiką wytworną, pełną kokieteryj ulicznej, jeśli łatwość i ujmującą wrażliwość w zamienianiu form towarzyskiej uprzejmości w ten sposób nazwać można, robi wrażenie miasta eleganckiego. Komunikacja miejska nie pozostawia nic do życzenia, tramwaje elektryczne podziemne przeryniają wzdłuż całe miasto, z taką tanią a z uwzględnieniem wygody, ba nawet komfortu, pod względem wewnętrznego urządzenia wagonów, szybkością jazdy i prostotą a łatwością nabycia biletu i zdobycia miejsca, prócz tego kursują po ulicach tramwaje za pomocą elektryczności, co stanowi wyższość Pesztu po nad inne miasta. Do najpiękniejszych wycieczek pozamiejskich, należy wyspa „Margarethen Insel“ oddalona od Pesztu na niecałą godzinę jazdy; podróż ta statkiem parowym po Dunaju odsłania śliczną panoramę miasta i przesuwając nas około najpiękniejszego gmachu Parlamentu Węgierskiego, który zbudowany w stylu gotyckim (neu-gotik) kosztem 30 milionów guldenów, stanowi chlubę sztuki architektonicznej Węgier. Wyspa „Margareten“ z pięknym parkiem, ogrodami i kąpielami stanowi główne miejsce wycieczek dla mieszkańców Pesztu a jest własnością Arcyksięcia Józefa.

Należało właściwie rozpocząć korespondencyę od Wystawy Peszteńskiej—ja kończę na niej, szczegółowy bowiem opis wymagałby poruszenia wielu kwestii specjalnych nie interesujących ogół, nadmienić tylko wypada, że wystawę urządzono z wielkim nakładem i z całą okazałością godną dużego a przedewszystkiem bogatego miasta: z pomiędzy dwustu pawilonów gustownie zbudowanych (w tem dużo gmachów stylowych) na szczególne wyróżnienie zasługuje grupa pawilonów historycznych (Historische Hauptgruppe) w stylu romańskim, przepełniona starożytnymi zbrojami, monetami, dokumentami historycznymi i t. p. szczegółowe badanie których wymagałoby specjalnych studiów; imponujące robi wrażenie wielka halla przemysłu (Grossen Industriehalle) jest to jedna z największych

budowli Wystawy ze wspianym portykiem z czasów Cesarza rzymskiego i z dwoma bocznymi pawilonami w stylu włoskiego renesansu, halla ta największe mająca powodzenie zwiedzających, mieści w sobie najpiękniejsze wyroby z różnych gałęzi przemysłu, to też znajdziesz tam i wyroby skórzanego i porcelanę i tkactwo i wyroby tapicerskie i galanterię a wszystko w ozdobnych gablotkach, ułożone z gustem i z tą finezyą, która świadczy o wysokim wyrobieniu estetycznym. Stara Buda ze swymi charakterystycznymi domami, wewnętrznym szczegółowo umeblowaniem i z figurami woskowymi danej epoki w kompletnym charakterystycznym stroju, dalej panoramy artystycznie wykonane w pięknych gmachach specjalnie wybudowanych, oto szczegóły, stanowiące główną siłę przyciągającą gości, to też ludno i gwarno na Wystawie w obecnej zwłaszcza porze, gdzie dużo kuracjuszy powracających z wód lub stacy klimatycznych, zatrzymuje się dla zwiedzenia Wystawy tembardziej, że ceny mieszkań i życie w Peszcie, pomimo dużego napływu gości, nadszpodziewaną odznaczają się taniością; numer w pierwszorzędnym hotelu „Bristol“ urządzony z całym komfortem, z oświetleniem elektrycznym, windą na zawołanie i t. p. kosztuje 2 guldeny dziennie, licząc w tem usługę i wszelkie dodatki, a obiad złożony z sześciu dań i desseru nie przewyższa ceny 3 guldenów.

Stefan Plonczyński.

WSPOMNIENIA Z LAT. SOBOTY.

Kto wie co to jest wyczerpanie nerwowe, a jest przytem w tych warunkach życia, że ogrom pracy i odpowiedzialności spoczywa na nim, a moc obowiązków zmusza do pracy zawodowej bez litości dla siebie, ten dopiero sprobawawszy oceni dostateczne zbawcze dobroczynne skutki morskiej kąpieli w Sobotach; z wyboru zaś rad będzie i ze względu na łatwą, niemęczącą komunikację i na różnorodność wrażeń, jakich sama już droga dostarcza.

Żądni urozmaiceń podróży mogą, bez wielkiego uszczerbku dla czasu i kieszeni, inną drogą jechać, a inną powracać.

I tak, jadąc na Aleksandrów, zatrzymanie się pociągu z rana z Warszawy wychodzącego w Toruniu wystarcza na zwiedzenie miasta, do którego czy to doróżką, czy statkiem, dostać się łatwo.

Toruń z wielu względów wart widzenia. Starożytne to miasto z twierdzą założoną jeszcze przez zakon krzyżacki w 1231 r., czysto i dość wspaniale się przedstawia, a zaciekawia posiadaniem wielu dawnych pamiątek, do których zaliczyć potrzeba przedewszystkiem Ratusz, budowa którego trwała od XIV do XVI-go wieku. Znajdująca się w nim sala, zwana „Salą przysięgłych“, ozdobiona jest portretami.

Przed Ratuszem na Rynku spotykamy pomnik Kopernika w postawie stojącej, bardzo udatny.

Przy ulicy noszącej nazwę wielkiego astronoma można widzieć domek, w którym Kopernik się urodził.

Trochę prostych sprzętów, łóżko z kotarą i portret Kopernika, oto pozostałe pamiątki po naszym wielkim człowieku, przyznać należy, że starannie są przechowywane.

Kościół w Toruniu imponują latami, które przetrwają; z pięciu znajdujących się w mieście trzy są obecnie katolickie, dwa pozostałe protestanckie.

Najpiękniejszym jest kościół N. Panny Maryi sięgający 13 wieku, w gotyckim stylu, z pomnikiem grobowym siostry Zygmunta III-go Anny, królowej szwedzkiej.

Przyjrawszy się po drodze dość wspaniałym magazynom, zawartość których stanowi pokusę przejeżdżnych, przywieszone ceny bowiem są istotnie zadziwiająco niskie w porównaniu z naszymi; zaopatrzona w sławne pierniki toruńskie i książki dla

rozrywki i korzyści w podróży, z polskiej księgarni na Pocztowej ulicy śpieszyć musiałam na kolej. Przyjemność zwiedzenia Torunia opłaca trud przesiadania się do innego wagonu.

Jadąc dalej wciąż nad brzegiem Wisły, mamy znowu sposobność, korzystając z 40 minutowego zatrzymania się pociągu, zwiedzenia Bydgoszczy (Bromberga) wzięwszy za 1 markę dorożkę na pół godziny. Miasto to fabryczne ma 31,000 mieszkańców i stanowi ważny punkt handlowy, dzięki kanałowi Bydgoskiemu, łączącemu Brdę z Notecią, ma dwa kościoły katolickie, wiele wspaniałych domów, fabryk, tramwaje świetne, olbrzymie dorożki, dużo wody, zieleni, zwłaszcza w pięknych alejach otaczających miasto ze strony południowej, są to dawne szanse szwedzkie. Obejrawszy pomnik Fryderyka II-o, któremu miasto wzrost swój zawdzięcza dzięki kanałom za niego wykopanym, zdenerwowana po wspaniałą jazdą landa i obawą spóźnienia się na kolej śpieszę tunelem, w którym liczba stopni schodów wydaje się nieskończoną i trafiając w samą porę ruszenia pociągu; przesiadłszy się po raz drugi dojeżdżamy do Tczewa (Dirschau), gdzie się znowu potrzeba było w innym wagonie umieścić. Za przenoszenie rzeczy płaci się stale 20 fenigów.

W czterdzieści minut drogi przybywa się z (Dirschau) Tczewa do Gdańska. Pokusa zwiedzenia co prędzej tego miasta, zatrzymuje mnie w niem cokolwiek dłużej, ilość i jakość odniesionych wrażeń, wynagradza sownie zwłokę.

Niezmienne oryginalne i ciekawe to miasto—Gdańsk, a tak starożytne, iż na każdym kroku spotyka się pamiątki sięgające zamierzchłej nieraz przeszłości, w roku b. Gdańsk obchodzi 550 lecie istnienia.

Obecnie Gdańsk ważne ma znaczenie, jako najważniejszy port, najwarowniejsza twierdza w Prusiech, po Szczecinie najbardziej handlowe miasto.

Zboże, mianowicie pszenica polska, jak dawniej, tak i teraz jest głównym artykułem wywozu, drugim drzewo, a resztę stanowią surowe produkty; dzięki położeniu swemu u delty Wisły, skupia zbożową produkcję z dorzecza Wisły i jej rzek po-brzeżnych.

Już to wody nie brak w Gdańsku, Motława i Radunia przepływają dwiema odnogami przez miasto i wpadają tu do Wisły, Lemioka wpada do zatoki gdańskiej, o pół mili odległości znajduje się port Neufahrwasser, a na lewo z przeciwnej strony Weichselmünde, silny fort broniący portu Neufahrwasser mniej więcej 126 statków żaglowych i 12 parowców. Dla tej to masy wody w mieście i tuż obok słusznie Gdańsk przezwano Wenecją Północy.

Z gmachów i starożytnych budowli zwraca przedewszystkiem uwagę Ratusz, sięgający 14 stulecia, z wieżą 65 metrów wysoką, za małą opłatą obejrzeć go można; z 22 kościołów, z których 5 katolickich najwspanialszy jest kościół N. Panny Maryi, którego budowę w 1343 r. rozpoczęto a ukończono w 1503 r.;—dawniej katolicki obecnie luterancki. Starożytna ta świątynia w stylu gotyckim imponuje ogromem, ilością i jakością dawnych zabytków. Godne podziwu rzeźby w Wielkim Ołtarzu, w Kaplicy zwanej Reinholda, zastanawiają i smakiem i wykonaniem i nieskończoną ilością figur. Chrzcielnica wielka oryginalna, jak altana, ustawiona w środku szerokości nawy kościelnej, żelazniami sztachetami otoczona; wchodzi się do niej przez drzwiczki na klucz zamykane po kilku stopniach.

Obejrawszy krzyż w kaplicy zwanej „Jedenastu tysięcy dziewięć“, dłużej zatrzymać się trzeba w Skarbcu, gdzie chorągwie, ornaty warte widzenia, ze względu na czas i pochodzenie. Przykuwa najdłuższą uwagę w kościele N. P. Maryi umieszczony w oddzielnej Kaplicy obraz przedstawiający „Sąd ostateczny“, dzieło, jak osądono ostatecznie, Jana Mammilinga, najcelniejszego mistrza szkoły Niderlandzkiej. Jest to tryptyk w wykonaniu którego anatomia i perespektywa pozostawia wiele dziś do życzenia, ciała ludzkie mają jakieś węzowe kształty, koloryt świeży dosyć, ugrupowanie masy figur, wyraz różnorodny tylu postaci, a przedewszystkiem oryginalność pomysłu niezrównane. Środkową część obrazu wypełnia sam sąd ostateczny właściwie. Po lewej stronie przedstawione jest piekło, wyobraża je skłębiona masa ludzi, o nie tak ohydnych jak wystraszonych twarzach; szatani z zakrzywionymi

pazurami i ogonami porywają i ciągną potępieńców w buchające zdala płomienie. Prawa strona poświęcona jest wybranym i wyobrażać ma niebo, czyli raczej przedsmak tegoż. Doprawdy, że obraz ten starodawny oryginalny wart widzenia, fotografie żen zdjęte, a w kaplicy rozwieszone nie dają dokładnego odbicia, nie mogą otworzyć kolorytu, przez co obraz traci swą cechę. Ławki w kościele ustawione są w poprzek do Ambony zwrócone, ołtarze i kaplice boczne niepotrzebne protestantom, są rodzajem Muzeum, dla zwiedzenia którego kupuje się bilet wejścia po 50 f-nigów od osoby. Z kościołów piękny, jest jeszcze kościół św. Katarzyny.

Z kolei wartą widzenia jest Giełda z artystyczną dekoracją gmachu zewnątrz; w ozdobnym tym gmachu zwanym Artushof zbierali się obywatele na narady w interesach handlowych i na uroczystości. Styl gmachu gotycki wewnątrz zdobi go dużo i nawet dość cenny obrazów i marmurowy posąg Augusta III-go. Przed Giełdą na Placu Langemarkt zwraca uwagę starożytna studnia z 17 wieku, zwana Neptunbrunnen ozdobiona spiżowym posągiem tegoż bożka.

Od wschodu zamyka plac Langemarkt pałac Grünes Thor zwany, niegdyś rezydencją królów polskich, od zachodu brama Langgetsenthor wzniesiona w 1612 roku. Z przeciwnej strony idzie główna ulica Gdańska Langeasse (Długa) zamknięta bramą forteczną Hohes Thor, w 1588 roku zbudowaną, którą zdobią u szczytu herby Gdańska i Prus zachodnich.

Ulica Długa czysta jest jak całe miasto i bardzo ożywiona, wszystkie domy to jeden szereg wystaw sklepowych bardzo okazałych, sprawunki wszelkiego rodzaju załatwić na niej można dość tanio, a nade wszystko prędko bo i przestrzeń nieduża i ceny stałe, a do tego wybór przedmiotów znaczny i wielka uprzejmość kupców, prawie we wszystkich magazynach wywieszone w oknach karty z napisem „Usługa Polska“ albo „Mówi się po polsku.“ Z innych ulic oryginalną i godną widzenia jest Jopengasse, którą zamyka Stary Arsenał i Frauengasse, obie mają domy ozdobione gankami różnorodnymi i czynią takie złudzenie, iż zdaje się że lada chwila ukazą się na nich średniowiezni rycerze, a z okien wyjrzą mieszczaneczki w stroju, jaki się już dziś spotyka tylko na obrazach.

Ze wszech względów Gdańsk przedstawia się jako okazałe średniowieczne miasto Północy.

Idąc zaś z duchem czasu nieobojetne jest na postęp wiedzy, której drogę torują zakłady naukowe jak: gimnazja, męskie i żeńskie, szkoły techniczne, handlowe, marynarskie, gdzie naród filozofów kształci dzieci swoje.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— W towarzystwie inżynierów górniczych w Petersburgu miał p. Adolf Wolski odczyt o wynalezionym przez siebie modelu wielkiego pieca, który przy bardzo nieznacznych kosztach osiągnąć pozwala więcej niż 20 proc. oszczędności, na paliwie. Słuchacze wyrazili wynalazcy uznanie swoje za dokonanie odkrycia, które w przyszłości przynieść może wielkie korzyści.

— Pisma petersburskie donoszą, że ministerium spraw wewnętrznych zatwierdziło już w zasadzie

budowę nowego pomieszczenia dla urzędu pocztowego w Warszawie, dotychczasowe bowiem nie odpowiadało już wymaganiom dzisiejszym. Budowa gmachu przeprowadzoną zostanie drogą konkurencyi, a kosztą jej nie mają przenosić sumy 300,000 rubli. Prace rozpoczną się z nadchodzącą wiosną.

— Prof. d-r Nencki zrobił wspólnie z asystentem swoim doktorem-kobietą Ziber-Szumową bardzo ważne naukowe odkrycie. W wydanej niedawno w języku ruskim rozprawie p. t. „Przyczynę do etyologii dżumy bydłowej,“ rzuca nowe zupełnie światło na proces powstawania i rozwijania się organizmów, chorobę tę sprawdzających. Rodak nasz doświadczenia swoje przeprowadzał w cesarskim instytucie medycyny doświadczalnej.

— Przypadający w d. 8 Września doroczny odpust w Skempem (gub. Północnej) obchodzony był bardzo uroczysto. W tym roku bowiem przypadała 400 letnia rocznica objawienia Matki Boskiej i od sprowadzenia na to miejsce statui z Poznania kosztem Zofii Kościeleckiej córki Mikołaja Kościeleckiego. Na uroczystość tę jubileuszową połączoną z ośmiodniowym odpustem zebrały się tłumy pobożnych ze wszystkich stron kraju.

— W Lublinie powstać ma staraniem miejscowych rzemieślników „Towarzystwo wzajemnej pomocy rzemieślników, drobnych kupców i subiektów handlowych.“ Celem jego pomoc w sprzedaży wyrobów, udzielanie zasiłku biedniejszym i obmyślanie środków do zebrania niezbędnych na ten cel funduszy. Statut ułożony na wzór statutu stowarzyszenia subiektów handlowych w Warszawie, przesłany już został właściwej władzy do zatwierdzenia.

— Austriackie ministerium oświaty dało już pozwolenie na otwarcie drugiej klasy w gimnazjum polskim w Cieszynie. Gimnazjum to otwarte zostało, jak wiadomo, kosztem składek publicznych w jesieni roku zeszłego.

— W Krakowie odbyło się dnia 5-go b. m. uroczyste otwarcie pierwszego gimnazjum żeńskiego w Galicyi. Nauka rozpoczęła się d. 8-go o g. 8-iej rano i będzie jednorazową do g. 1-iej po południu. Do gimnazjum zapisało się 28 uczennic, z tych 25 katoliczek i 3 izraelitki.

— Pisma francuskie donoszą, że znakomity śpiewak Jan Reszke, poślubił ma wkrótce hr. Mailly-Nesle piękną przedstawicielkę jednej z najznakomitszych rodzin francuskich. Ślub odbyć się ma w Październiku w majątku Jana Reszkego, poczem państwo młodzi udają się do Londynu a następnie do Ameryki, dokąd artystę wzywają zobowiązania z impresariem Grauem. Będzie to już ostatnia wędrówka artystyczna, Reszke ma bowiem zamiar po upływie roku usunąć się zupełnie ze sceny.

— S. p. Zygmunt Kaczkowski zapisał swoją bibliotekę, oraz prawo literackiej własności wszystkich dzieł swoich towarzystwu historycznemu we Lwowie, majątek zaś w papierach wartościowych i nieruchomościach, wynoszący około pięciu milionów fr. żonie swej. Pani Kaczkowska jest rodowitą Francuzką, z domu Caillet. Zmarły poślubił ją w czasie ostatniej swojej choroby.

— „Związek kobiet chrześcijańskich świata“ wręczył w tych dniach królowej Wiktorii petycję, opatrzoną siedmioma milionami podpisów. W podaniu tem, zredagowanym w 44-eh językach, petentki proszą o poparcie władz rządowych w walce z alkoholizmem i opiumizmem.

— W Neapolu zmarł w d. 10-ym b. m. dyrektor obserwatorium na Wezuwiuszu, senator Palmieri. Dał on podstawę do dzisiejszej teorii trzęsienia ziemi. Od r. 1854 t. j. od czasu objęcia obserwatorium na Wezuwiuszu nie ustawał w badaniu zjawisk wulkanicznych. Jemu zawdzięcza nauka wynalazek „seismometru“, instrumentu, który wska-

zuje w przybliżeniu nastąpić mające zjawiska wulkaniczne, które powodują znowu trzęsienia ziemi. Od 16 lat wykładał na uniwersytecie w Neapolu fizykę i meteorologię. Najznakomitszym jego dziełem jest: „Wezuwiusz i jego historia.“ Palmieri zmarł w 90-ym roku życia.

— W Smith-Counthy w stanie Kansas w Ameryce istnieje miasteczko Gaylord, którego rządy spoczywają wyłącznie w ręku kobiet. Godność burmistrza pełni pani Antonina Haskell, zawzięta demokratka, którą zaszczyt ten spotkał już po raz drugi. Pisarzem jest panna Florentyna Headley. Już w 17-ym roku życia redagowała dziennik „Gaylord Herald.“ Obecnie ma lat 20. Sędzią policyjnym jest 45 letnia Mary Foote. Kontrkandydatem jej podczas wyborów był własny mąż, przepadł jednak, choć mu to wielkiej przykrości nie zrobiło, bo urząd pozostał w rodzinie. Rada miejska składa się również z samych kobiet, a mieszkańcy miasta twierdzą, że im z temi „babskimi rządami“ bardzo dobrze!

— Pisma amerykańskie podają cudowne próbki higieny tamtejszej. Pewien lekarz angielski osiadł w Texas opisuje w jaki sposób przeprowadza się tam przymusowe szczepienie ospy. „Gdy tu w jakimś mieście wybuchnie epidemia ospy, otrzymuje każdy mieszkaniec polecenie by sobie ją dał w jak najkrótszym czasie zaszczerpić. Opierających się temu poleceniu, chwytają sługa policyjny, i przypiera do ściany, a drugi staje przed nim z rewolwerem w pierś nieposłusznego wymierzonym. Wtedy dopiero odbywa się tuż na miejscu operacja.“

KOMITET KASY POMOCY

dla osób pracujących na polu naukowem

imienia J. Mianowskiego

podaje do wiadomości, że z zapisu Jakóba Natanson'a przyznane zostaną w roku przyszłym dwie nagrody pieniężne.

Jedna nagroda przeznaczoną będzie za najlepszą pracę z dziedziny nauk ścisłych (matematyka, nauki przyrodnicze włącznie z biologicznymi), ogłoszoną drukiem w języku polskim w latach 1893, 1894, 1895, 1896; druga, za taką pracę w dziedzinie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych, historycznych lub tym podobnych.

Zgodnie z ustawą Kasy pomocy i stosownie do zastrzeżeń, uczynionych przez zapisodawcę, powyższe nagrody udzielone być mogą jedynie poddanym rosyjskim, mieszkającym w Królestwie Polskiego, w Królestwie urodzonym.

Komitet zarządzający Kasą, własnem staraniem usiłuje zebrać dla poddania ocenie, prace ogłoszone w wymienionym okresie; dla uniknięcia jednak możliwych przeoczeń, prosi o składanie prac o których mowa, w biurze Komitetu (Bank Handlowy) lub na ręce jednego z członków Komitetu, przed 1-ym Października r. b.

za Prezesa Komitetu Prof. D. Baranowski.
Członek Komitetu Sekretarz St. Libicki.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy“ dołącza się: ark. 22-gi powieści p. t. **Fata Morgana**, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego.

TREŚĆ: Bądź błogosławiona, przez J. Nitowskiego.—Pogawędka przez ??—Promyk szczęścia. Urywek z życia, skreślił Jan Kenaj (dalszy ciąg).—Kazimierz Gliński. Plon niesiem. Komedya w 2 aktach (dalszy ciąg).—Siostry Napoleona, przez Anatola Krzyżanowskiego (dalszy ciąg).—Korespondencya zagraniczna, przez Stefana Płonezyńskiego.—Wspomnienia z lata. Soboty.—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: **Fata Morgana**, powieść, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego, ark. 22-gi. — Przegląd mód. 31 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.